

"Los pomaga tylko tym, którzy naprawdę wiedzą, czego chcą."

Mimo że zewsząd spoglądały na mnie rozkoszne twarze cherubinków, a ostre kolce koron cierniowych starały się podrażnić moje zamyślane *Ja*, nie było rzeczy, która mogłaby odciągnąć mój wzrok od białego oblicza Maryi Panny. Widziałam, jak stoi przede mną dumna, wysoko na cokole, jak usiłuje dotknąć mnie swoim marmurowym palcem. Złocista kula chylącego się ku linii horyzontu słońca oświetlała Ją od tyłu, tworząc wokół najświętszej głowy lśniąca aureolę. Oczarowana tym objawieniem, kolejny raz spędziłam na cmentarzu o godzinę za długo; zaraz się ściemni, a przecież mam w rowerze tylko zepsute dynamo i światelko bez baterii.

Dziwny ze mnie typ: jedni czują się najlepiej mocząc stopy w Bałtyku, drudzy szukając borowików w leśnej gęstwinie, jeszcze inni czują się spełnieni urządzając maratony w centrach handlowych, a ja... ja reprezentuję mniejszość przywiązaną do cmentarzy. Żadnych par trzymających sobie wzajemnie ręce w tylnych kieszeniach spodni. Żadnych dudniących empetrójek zakłócających i tak wystarczająco jazgotliwą muzykę miasta. Żadnych piskliwych chichotów ani kałuż śliny na chodnikach, tylko ja, stare, urokliwe pomniki i coraz to nowe próby poskładania w myślach wszechświata. Inspiracja! Całe me ciało, każda tkanka, każda komórka pragnie inspiracji! Poemat o śmierci? Bardzo proszę. Esej o przemijaniu? Nie ma problemu! Jak na złość, moja kariera zależy od opowiadania o miłosnych uniesieniach. "Na skrzydłach miłości"- taki właśnie temat narzucono w konkursie, gdzie jurorem jest mój idol, moje literackie bożyszcze, autorytet, na zdaniu którego NAPRAWDĘ mi zależy. Widmo romantyczności regularnie mnie nawiedza... Przekomarza się ze mną: "Chyba sobie kpisz! Chcesz o mnie pisać nie znając mojego smaku? Głupiaś!" Niekiedy mam ochotę klepnąć się w czoło i krzyknąć: "Masz rację! Prawdziwy naiwniak ze mnie, dam sobie z tym spokój!", jednak najczęściej odsyłam tego nieproszonego gościa z kwitkiem. W czasach, kiedy kochać można samochód, buty czy kiełbasę trudno mi uznawać wyznania miłości za poważne. Zaś teksty w stylu "kocham cię nad życie" przyprawiają mnie wyłącznie o parszywy uśmiech. Czy róża pozbawiona nagle swego ogrodnika umiera? Owszem, z pewnością trochę marnieje, odczuwa brak opiekuna. Ale tylko do czasu- po jakimś czasie odżywia ją deszcz bądź nawilżają perelki rosy.

Wzniosły duch werteryzmu powinien zesłać na mnie gradobicie.

Wada starych cmentarzy polega na zupełnym braku harmonii i porządku. Do uprawiania cmentarnej turystyki potrzeba gibkiego ciała, inaczej od razu wdepniesz w czyjś kopczyk. Wyćwiczyłam techniki przeciskania się między grobami do perfekcji, lecz tym razem otumańczyło mnie mistyczne doznanie, którego doświadczyłam chwilę wcześniej bądź zemścił się na mnie wkurzony Werter, gdyż nagle poczułam na czole głuchy ból i zimno, po czym coś upadło mi na stopę. Dotknęłam głowy i spojrzałam na dłoń; byłam pewna, że będzie na niej krew, jednak zamiast niej dostrzegłam tylko ułamane marmurowe ramię krucyfiksu przy moich butach. "Ty cholerna fajtłapo!"- zakląłam głośno. Podniosłam z ziemi przyczynę rosnącego mi guza i przyglądałam się jej krzywo, namyślając się, co teraz począć. Kruchy kawałek surowca pochodził z obrośniętego mchem, przez wieki nieodwiedzanego grobowca, mimo tego poczułam się żałośnie powodując pogorszenie stanu owego zabytku.

- Nic ci nie jest?- usłyszałam zza pleców i jak oparzona, odwróciłam się.- To musiało zaboлеć!

- Ach... Nic się nie stało- odrzekłam, wpatrując się bezmyślnie w kawałek krzyża w moich łapach. Wypieki paliły mi policzki. Nieśmiało zerknęłam na młodego mężczyznę przede mną. Wyglądał całkiem przeciętnie, lecz wszystkie niedociągnięcia matki natury rekompensowały olbrzymie, lśniące oczy, sprawiające wrażenie zatopionych w białkach turkusów.

- Swoją drogą, Bozia cię ukarała, d o s ł o w n i e! Musisz mieć wiele na sumieniu- zaśmiał się

nieznajomy, świdrując mnie swymi kosmicznymi oczkami. Jego mina świadczyła o tym, że wyczekiwał ode mnie jakiejś mniej lub bardziej celnej riposty, która mogłaby posłużyć za element napędzający ten nietypowy, cmentarny flirtik.

- Eeech... Nie sędę, to raczej zwykłe roztargnienie...

Kulturalnie odłożyłam ułamane ramię u stóp poturbowanego krzyża i odwróciłam się na pięcie. Nigdy nie byłam dobra we flircie, nawet w tym cmentarnym.

Doprawdy, rozmowa ze mną przypomina rozmowy prezenterów wiadomości z reporterami usytuowanymi na innym kontynencie: jakakolwiek odpowiedź z mojej strony jest możliwa nie wcześniej niż po kilku sekundach. Mam na myśli błyskotliwą odpowiedź. Bo bełkotliwe wynurzają się ze mnie bez żadnego problemu, czego popis dałam przed chwilą. Podążając w kierunku bramy wyobrażałam sobie, jak powinnam rozegrać zaistniałą sytuację- jakby to niesło jakikolwiek pożytek! (*"Swoją drogą, Bozia cię ukarała, d o s ł o w n i e! Musisz mieć wiele na sumieniu" "A może w ten sposób Bóg chciał zwrócić na coś moją uwagę, może to był znak?"*)

Odpinałam właśnie zaczepkę od roweru, kiedy ponownie usłyszałam znajomy głos:

- Nieoświetlonym rowerem po ciemku? I to po urazie głowy? Wszak jazda nim jest teraz niebezpieczna- zażartował chłopak, po czym puścił mi oczko.

- Nie mam wyboru! Zamierzałam wrócić za dnia, nie zauważyłam nawet, kiedy się ściemniło.

- Mógłbym zaproponować ci podwózkę...

- Dziękuję, poradzę sobie- przerwałam mu w pół zdania.

-...ale nie wyglądasz mi na dziewczynę, która wsiadałaby z obcym facetem do samochodu... Ha! Skąd ja to wiedziałem, że się nie zgodzisz!

Zamiast odpowiedzieć słownie, wruszyłam tylko ramionami. "Twój problem chłopcze! Na mnie już czas"- wyrwało się z ust. Uchroniła mnie przed tym nagle pewna myśl, która wstrząsnęła mną niczym uderzenie obuchem: "Przecież mam władzę! Mam władzę! Ten facet jest tym, czego pragnę- inspiracją!". Poczułam, jak z emocji i strachu źrenice rosną mi do wielkości spodków od filiżanek. Sama nie wierzyłam, że jestem zdolna do odnalezienia dziury w moim zamkniętym, hermetycznym świecie, do ugoszczenia w nim kogokolwiek. Głęboki oddech, trzy- dwa- jeden:

- A może... Może ten wypadek na cmentarzu był nie karą, lecz znakiem od Boga? Może to było po to, bym na coś zwróciła uwagę, nie przegapiła czegoś... lub kogoś?

W tym momencie szalone, piękne i spontaniczne dziewczęta wykorzystują swój uśmiech nr 15, 20 czy 30. Jako że nie jestem szalonym, pięknym i spontanicznym dziewczęciem po prostu postarałam się, by kąci moich ust skierowane były ku górze.

- No proszę!- krzyknęło zdziwione moje przyszłe źródło natchnienia, gdyż widocznie miało zamiar już się poddać- Nie miałbym nic przeciwko, gdyby chodziło o mnie! Czuję nieopisany pociąg do cmentarnych wandalek. Na imię mi Bartek, a Tobie, piękna huliganico?

Zaśmiałam się szczerze, bardziej z satysfakcji z własnego triumfu niż z żartu chłopaka.

- Mów mi Mika.

Romantyzm, tak często szczuty psami, tym razem sprytnie wkradł się tylnymi drzwiami, po czym zdobył moje włosy siłą.

"Wątpliwość nie jest przyjemnym stanem umysłu, lecz pewność jest śmiesznym."

Tak jak każdy spadający liść przybliżał nas do zimy, tak każde słowo przybliżało nas do siebie. Dla Bartka byłam nowym górskim szlakiem do odkrycia, szlakiem, który wszyscy omijali, gdyż wydawał się nieciekawym. On zaś, im dalej dochodził, tym częściej wydobywał z siebie okrzyki zdziwienia i zachwytu. Mnie natomiast cieszył fakt, że znalazł się mężczyzna, który zechciał wymienić tani, kuszący kolorami

plastik, na wytrzymałą, drogocenną, choć zimną stal. Na początku byłam prawdziwą fontanną entuzjazmu. Lecz nie płynęła we mnie zwykła woda, o nie! Tryskałam we wszystkie strony różową oranżadą. Także w mojej powieści kolor kwiatu lilii miało każde zdanie, każda literka, każdy myślnik, przecinek, wykrzyknik! Uroczy męczyzna roztopiający lody w nieprzystosowanej do życia kobiecie- cóż za wspaniały, ambitny temat na książkę! A jakie bogactwo tematów! Chłopak robiący swej wybrance tosty w kształcie serc. Chłopak wyszywający sobie sam (!) napis I LOVE MIKA J. na plecaku. Chłopak chodzący do sklepu po tampony dla lubej, gdyż tej nie chce się ruszyć tyłka. Otóż Bartek był genialnym, natchnionym lodołamaczem. Potrafił wywołać łezkę wzruszenia i westchnienia typu "Ooo..." zwykłym pierdnięciem. Dostarczał mi w ten sposób coraz to nowych pomysłów pomocnych w wykreowaniu mojego powieściowego amanta. Do bycia rozćwierkanym słowikiem brakowało mu tylko piórek, zaś ja, gdybym tylko miała diadem i falbaniastą sukienkę z bufkami mogłabym ubiegać się o tytuł Królowy Śnieżki roku.

Pewnego wietrznego dnia, wchodząc do domu, potknęłam się o małego, pluszowego misia leżącego na wycieraczce. Przyjrzałam mu się podejrzliwie; w jego niewinnych, okrągłych ślepiach odbijała się moja zdziwiona twarz. W odleglejszej części korytarza czekał na mnie kolejny właściciel słodkiej mordki, tym razem dwa razy większy od poprzednika. Jego puchaty, około metrowy przyjaciel zerkał na mnie niecierpliwie z ostatniego stopnia schodów. Drzwi do mojego pokoju pilnował czwarty już niedźwiadek, pod względem gabarytów bardziej przypominający grizzly niż koalę.

- Witaj- wyszeptał mi ktoś do ucha, obejmując od tyłu- Czekaj tu na ciebie twój największy miś.

Bartek nie żartował- jego głowę zdobiła opaska z dwoma brązowymi, pluszowymi uszkami. Patrzył mi w oczy tak długo, że prawie utonęłam w turkusowej otchłani jego spojrzenia. Ponownie dojrzałam swe odbicie, tym razem otępiełe i zamroczone. W szoku, który doznałam, byłam już skłonna westchnąć "Ooo..." i zmusić się, by z powiek wylała się powódź łez, którą Bartek z pewnością scałowałby z moich zimnych policzków.

- Musisz o czymś wiedzieć.- zaczął- To wszystko nie jest na darmo. Kocham cię. Kocham cię! P o n a d z y c i e!

Czy widzieliście internetowy filmik, w którym wypatruje się czerwonych punkcików w zdjęciach idyllicznych krajobrazów, a gdy czujność ofiary zostaje uśpiona, na ekranie pojawia się szkaradna gęba demona z "Kłątwy", zaś ciszę przerywa głośny wrzask? Przestraszyłam się nie mniej, słysząc te dwa ostatnie, przekłute słowa, które odczarowały wszystko. Czemu "ponad życie"?! Czemuś tak strasznie przeklął?! Oto ja, Królowa Śnieżka bawiąca się z sarenkami i wiewiórkami, zostałam bestialsko trzepnięta gumową pałą w łeb, moje zwierzęta wypatroszono, spalono łakę i las! Miłość to nie są pluszowe misie, to nie jest pitu- pitu, do cholery! A czy mamy za sobą coś więcej? Wszystko stało się jasne: różowe okulary, które do tej pory tak chętnie zakładałam, a w których pękły właśnie oba szkła, zbudowane były raczej z satysfakcji po pokonaniu nieśmiałości niż z miłosnych pierwiastków.

Przyczyna mojego zbulwersowania wpatrywała się we mnie czekając na odwzajemnienie wyznania. Najprawdopodobniej uznała jednak, że jestem zbyt wzruszona by mówić, gdyż jej ręce lubieżnie zaczęły przesuwając się po moim ciele.

Nic z tego.

Poproszę jedną definicję miłości, ze trzy kilo jej wyznaczników i siatkę mądrości, bym inteligentnie wybrnęła z mojej sytuacji... To wszystko, dziękuję. Jak to, nie ma definicji miłości?! To co to za sklep! Chcę rozmawiać z kierownikiem! Boże! Że co, że niby mam poczuć, czy jest, czy jej nie ma? Takie bajdurzenie to może se Pan między bajki włożyć. Tak, lubię spędzać z nim czas. Tak, bardziej niż z kimkolwiek innym. Tak, pociąga mnie! Ile mam razy powtarzać, że mimo wszystko nie wiem, co czuję...? Składałam zażalenie.

Tak jak każdy przebłysk zieleni przybliżał nas do wiosny, tak każde słowo oddalało nas do siebie. Nie tylko mi opadły klapki z oczu, Bartkowi również. Moje dziwactwa, natręctwa, a nawet ideologia zaczęły rozjuszać go niczym czerwona płachta byka. By ulżyć nam obojgu w tej katordze, zdobyłam się na wyłożenie przed nim wszystkich swoich żali i utyskiwań. Nie uprzedzałam go, że przyjeżdżam, zadzwoniłam by się zapowiedzieć dopiero przed blokiem.

- Cześć... Mam nadzieję, że nie jesteś zajęty, bo planuję złożyć ci wizytę.

- Cześć. Nie ma mnie w domu, jestem teraz na uczelni.

- Och, szkoda... O której wracasz?- zapytałam, żalując daremnie przejechanych kilometrów. Byłam już na klatce schodowej i sama nie wiem, co mnie podkusiło, by mimo wszystko zapukać.

- Nie wiem, późno. Muszę kończyć, nie mogę teraz rozmawiać.

Dokładnie w tym samym momencie, gdy Bartek się rozłączył, drzwi otworzyły się na roścież i ujrzałam jego rozdziawioną ze zdziwienia buzię.

- Heeej! Wpadłam na kawę- przywitałam go z sarkazmem. Nie zważając na to, że stoi nieruchomo w przejściu, przecisnęłam się do środka.- Czekasz na kogoś?

- Nie... Nie chciałem, żeby tak to wyszło.- odpowiedział cicho, ze wzrokiem utkwionym w swoje przyszarzałe, sportowe skarpetki.

W takiej sytuacji kształtne seksbomby w argentyńskich telenowelach przeszukują mieszkanie w celu odnalezienia kochanki, jej rzeczy, bądź też wachają pościel, by wyczuć damskie perfumy. Kto wie, może dlatego, że nie jestem wulkanem latino kobiecości, spokojnie zaczęłam przygotowywać kawę. Jestem pewna, że Bartek wolałby już rewizję niż rozmowę ze mną, gdyż miał minę skazańca idącego na stryczek.

- Nie sądzisz, że powinniśmy zrobić z nami porządek?- rzekłam pretensjonalnie, siadając przy stole.

- Mam rozumieć, że nas przekreślasz?

- To zależy w dużej mierze od ciebie.

- Nie, to zależy od ciebie! Ja się starałem. Ale ty nigdy nie potrafiłaś tego docenić... Wiesz, co ci powiem? Jesteś oziębła! Nie umiesz kochać, żyjesz we własnym światku, rozmawiasz tylko z kartką papieru, bo wciąż coś bazgrzesz, zamiast zająć się czymś normalnym!

Dałabym głowę, że gdyby kiedykolwiek Bartek jadł zupę przygotowaną przeze mnie, dokładnie w tym momencie wygarnąłby mi, że była zbyt słona. Stał nade mną, gestykulował mocno rękami i wbijał we mnie każde nowe słowo niczym szaman igły w laleczkę voodoo. Owszem, może nie potrafię kochać, lecz30; czy kiedykolwiek się tego wypierałam? Z "miłości ponad życie" pozostała tylko garść konfetti rozsypana na podłodze, oboje właśnie po niej beztrudno deptaliśmy.

- I wiesz, co jeszcze?- kontynuował- już zawsze zostaniesz sama, jeśli...

- Aaa! Włożyłeś mi palec do oka, idioto!

Bartek ucichł. Wyglądał na poirytowanego, za pewne dlatego, że moje nerwowe trzepotanie rzęsami przeszkodziło mu w ciśnięciu kolejnej serii gromów. Wybiegł szybko z kuchni, po czym wrócił z przezroczystą fiolką w ręku.

- Masz, powinny złagodzić podrażnienie.

-"Krople nawilżające przeznaczone dla osób noszących szkła kontaktowe"...?- przeczytałam głośno napis na etykietce- To ty nosisz soczewki?

- Nie wiedziałaś? Przecież mój naturalny kolor oczu to szary.

Nie pozostał mi już żaden powód, aby ciągnąć tą znajomość.

"Najtrudniej pozbyć się straconych złudzeń."

Zimno podszczypywało moje nagie uda, więc pośpiesznie nałożyłam czarne rajstopy. Chwilę później talię i linię bioder owiła powojem śliskiego materiału sukienka a la Audrey Hepburn. Przeglądając się w

lustrze zrobiło mi się przykro, że nie mam cygaretki w ręku, lecz musiałam odłożyć marzenia o słodkich latach 60. na inną okazję. Włożyłam pod pachę nieukończony maszynopis "Na skrzydłach miłości" i wyszłam z domu. W przypiływie temperamentu Zeusa trochę poniosło, gdyż z oddali było widać, jak upstrzone białymi nitkami błyskawic niebo przesuwają się nad warszawską ziemią. Korzystając z przysłowiowej "ciszy" dotarłam do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło i gdzie wszystko się skończyło - starego cmentarza. W cieniu nadchodzących chmur nabrał złowieszczonego charakteru, zaś niegdyś nagrzane słońcem marmury, do których tak lubiłam przykładać wiecznie chłodne dłonie, tym razem zdawały się obmierzłe i obslizgłe jak skóra węża. Dotknięte tym widokiem rajske ptaki szybujące wysoko w przestworzach poczęły ronić kryształowe łzy. Gdy rozryczały się na dobre, ujrzałam idącą od strony kaplicy kolumnadę przybranych żałobnie muchomorów: ciemne parasole ochraniały smukłe trzony przybrane w garnitury bądź eleganckie spódnice, a cztery wyjątkowo dorodne egzemplarze niosły w górze drewniane pudło ozdobione złotymi ornamentami. Równomierne, rytmiczne bicie dzwonu wprowadzało w inną, mistyczną rzeczywistość. Gdy owa zahipnotyzowana parada wyminęła mnie, pozostała mi w nozdrzach woń kwiatów, świerkowych podkładów i kadzideł - nieznośny, mdły zapach śmierci. Śledziłam ich ciągle wzrokiem. Stanęli nieopodal wysokiego, stojącego samotnie krzyża, czuwającego nad snem spoczywających wygodnie ciał. Widziałam, jak kolejne z nich układane jest w prawdopodobnie najdroższym łożu, w jakim było dane mu leżeć. Widziałam, jak błyskawice oświetlają napis przymocowany do krzyża: "Jezu, ufam Tobie".

Panie, jak nie ufać!

Ile to razy w życiu kwitujemy opowieści o naszych problemach westchnieniem typu "O nie... Umieram...!" A czymże jest to w obliczu prawdziwej śmierci? Znalazłam dobre określenie: umierankiem. Z takim umierankiem można się zaprzyjaźnić, a nawet więcej - jest to wskazane! Całkiem sympatyczna z niego bestia. Stłukł ci się ulubiony kubek, stłukł cię twój chłopak, stłukły się w drobny mak twoje ideały? Nie krępuj się - odeślij tą zdruzgotaną, zawiedzioną część siebie na tamten świat. Spójrz, jaka wprawa na moment ostatecznego rozrachunku z kostuchą! Nie dostrzegasz w tym ironii? Tak, Bóg jest mistrzem w tym fachu: nakazuje po tysiącokroć razy umrzeć, by móc zacząć żyć. Co więcej, na pogrzebach nigdy nie oplakujemy nieboszczyka. Oplakujemy lukę po nim. Nie grzebiemy w ziemi ciała. Grzebiemy fragment naszych własnych dusz.

Pora zmienić bajkę, królowo! Poturbowaną Śnieżkę wysyłam na zasłużony urlop. A plan na dziś? Wyposażyć się w rydwan, a małą czarną wymienić na białą, zdobioną szronem balową suknię. Przynajmniej na pewien czas.

Przypadkowo trafiając na kościelne celebracje, zapomniałam o celu mojej podróży. Przemoknięte strony powieści zerkwały na mnie, szukając litości, współczucia. W pewnym stopniu udało im się to, gdyż trudno było mi rozstawać się z tym stosem papieru, z którym przeżyłam tyle intymnych, przyjemnych chwil. Termin konkursu kończył się za dwa tygodnie i nawet gdybym bardzo chciała, nie byłabym już w stanie zetrzeć z mej powieści wszędobylskiego, różowego pyłu, który obecnie powodował u mnie objawy bliskie chorem na astmę. Okres, w którym najbardziej smakowały mi złudzenia poskutkował palącą zgagą, aczkolwiek nie odczuwam żalu. Mam teraz kieszenie pełne doświadczeń na moją najlepszą powieść, którą zwojuję cały pisarski świeatek. Czy właśnie nie na inspiracji mi zależało? Wrzuciłam nieszczęsny maszynopis do kontenera na śmieci. Zgnije razem z kwiatami i połamanymi łodygami, a zanim się to stanie, potłuczone znicze porysują drukarską farbą - jedyną prawdziwą rzecz w całym tym przedsięwzięciu.

- Przepraszam panienko - zaczępił mnie nagle schorowany, trzęsący się dziadek o lasce - czy będziesz tak uczynna i zawiążesz mi buty? Rozwiązały się, a nie mogę się schylić...

Mimo pewnej niechęci, przykucnęłam przed staruszką i porobiłam zgrabne kokardki w jego czarnych, polerowanych trzewikach.

- Ach dziękuję panienko, dziękuję! Naprawdę mi pomogłaś, tak się bałam, że się potknę. - mówiąc to,

wziął w obie ręce moją dłoń- Niech ci Pan Bóg błogosławi- rzekł cicho, a w jego oczach dostrzegłam niewiarygodną wdzięczność i płomień najszczerzej miłości.

Zeus, prawdopodobnie udobruchany przez jedną ze swych kobiet, przemienił niebo w gładką, lazurową taflę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dominika289, dodano 30.11.2008 14:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.